

Biblioteka
U. M. K.
Toruń

08307/1

08307/1

NR. 1

Cena 50 gr.

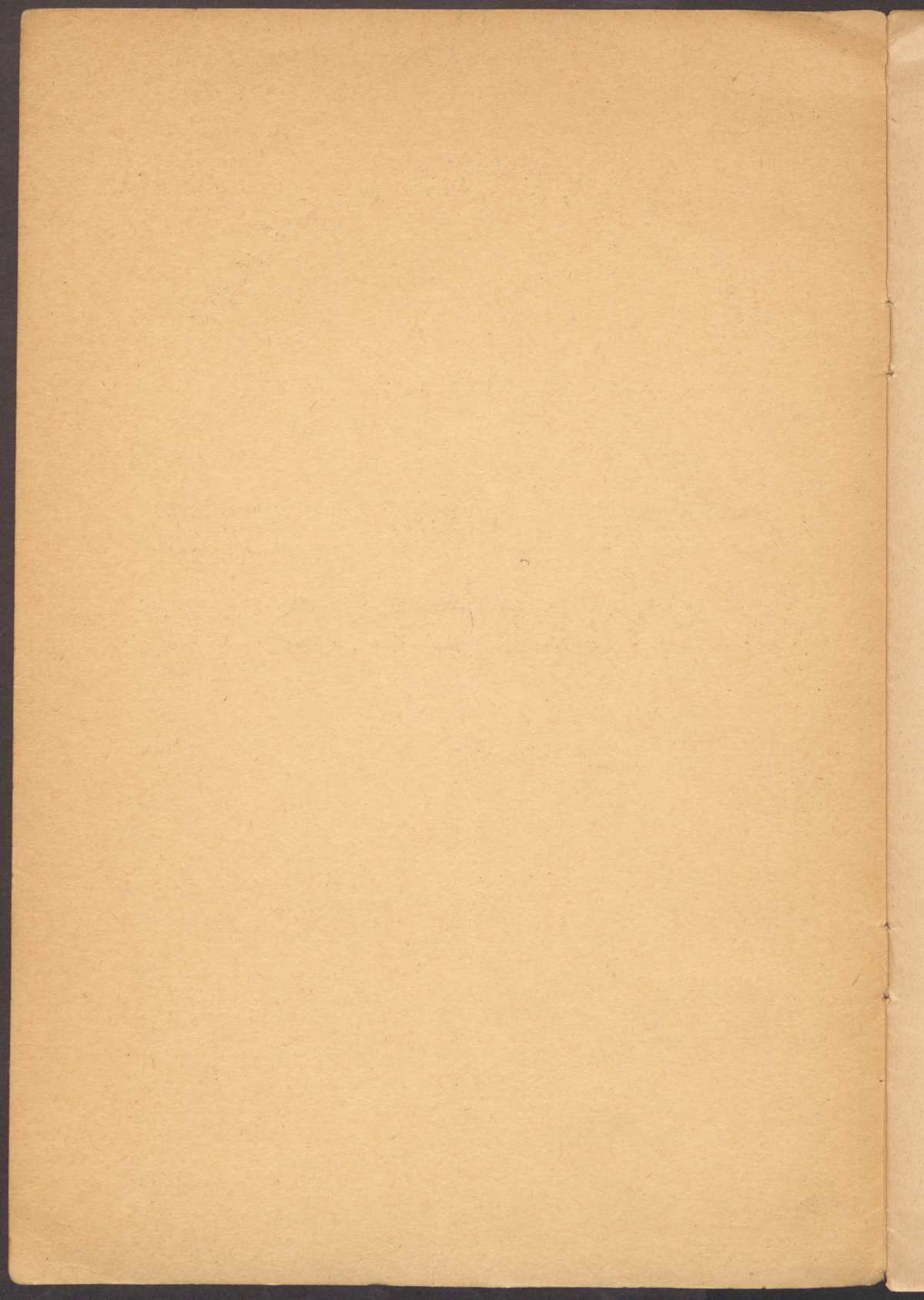
**BIBLIOTECZKA
CZASU**

KS. KONSTANTY MICHALSKI

**CZŁOWIEK
Z SYMPOZJONU**

(W. Natanson)

W A R S Z A W A 1 9 3 7



dotyczy do sygn. 21.08307.

NR. 1

Cena 50 gr.

**BIBLIOTECZKA
CZASU**

KS. KONSTANTY MICHALSKI

**CZŁOWIEK
Z SYMPOZJONU**

(W. Natanson)

W A R S Z A W A 1937



08307

K. 2440/58

Z. A. Z. G. „Drukarnia Polska“, Warszawa, Szpitalna 12, tel. 643-33
w dzierżawie Sp. Wyd. Czasopism, Sp. z o. o.

OD WYDAWNICTWA.

Redakcja „Czasu” postanowiła wznowić dawne swe wydawnictwo „Biblioteczki”. Ukazywać się będą w ramach tego wydawnictwa odbitki niektórych artykułów, drukowanych na łamach pisma.

Wznowienie wydawnictwa następuje, niestety, w chwili bolesnej. Łączy się ono z potrzebą uczczenia pamięci wielkiego polskiego uczonego, znakomitego pisarza i patrioty, którego „Czas” miał zaszczyt zaliczać niemal przez lat 50 do grona swych czytelników, przyjaciół i współpracowników. W ten sposób wznowienie „Biblioteczki” staje się zarazem hołdem złożonym pamięci ś. p. rektora Władysława Natansona.

I.

MOŻNA podzielić ludzi na dwie grupy, na takich, którzy by mogli wziąć udział w Sympozjone Platona i na takich, którzy by się tam zjawić nie mogli. Zewnętrznie i płytko ujmie Sympozjon, kto zaczyna od archeologii i na niej kończy, interesując się tym, kiedy i dlaczego Agaton zaprosił gości do siebie; zewnętrznie i płytko ujmie je także ten, co zatrzyma się zbyt długo na libacji, na tym, co mija rychło jak przygoda. Sympozjon ma wysoką, górską atmosferę, której nie znośzą ludzie o słabych głowach i marnych sercach. Głęboka, szczerza przyjaźń i kult twórczej myśli złączył wszystkich uczestników biesiady, która stała się symbolem i jeszcze ciągle trwa, jeszcze ciągle gromadzi koło jednego stołu wielkie umysły i serca. Sympozjon trwa dotąd dla tych, którzy nie tylko przyjmują wdzięcznie z ręki Stwórcy swą osobistą nie-

śmiertelność, lecz pragną ze swej strony nieśmiertelność tworzyć, wnosząc w istniejącą kulturę, to, co się poczęło w ich duszy z miłości do prawdy i piękna. Są ludzie, którzy by do platońskiego Sympozjonu mogli należeć i tacy, którzy by tam należeć nie mogli.

Zabrał nam Pan Bóg człowieka, o którym nikt nie wątpił, że się urodził jakby na to, by wejść do platońskiego Sympozjonu. Kto znał tajniki jego serca, kto widział, jak z jego myśli zapalały się myśli inne; kto odczuwał jego gorącą tęsknotę do prawdy w blaskach piękna, ma niewzruszoną nadzieję, że on, ś. p. Władysław Natanson, poszedł w zaświaty, by zacząć inne Sympozjon, inne dlatego bo się tam już nie szuka lecz posiada, już się nie zdobywa promienia po promieniu lecz się otwiera duszę na nieskończoność światła.

Tyle razy odzywały się głosy podziwu na widok pracy

Zmarłego, tyle razy powtarzano, że Zmarły należał do tych przyrodników, którzy mają otwarte oczy i duszę wrażliwą na każde piękno, na każde drgnienie serca, na każdy rodzaj rzetelnej pracy, także tej, która się dokonuje w dziedzinie humanistyki. Nie mylono się, chociaż nie zawsze dostrzegano drogę, jaka w tym wypadku prowadziła od przyrody do zagadnień humanistycznych.

Dzieje nauki odsłaniały przed wzrokiem Natansona jeszcze więcej tajemnice umysłu i serca ludzkiego, aniżeli tajemnice natury. Wprowadził go w zachwyty twórczy eros, ten, którego za wieszczką Diotymą, wielbił Sokrates w Sympozjonie, — ten, który odkrywa tysiące dróg do podsłuchania rytmu przyrody — ten, który w zapamiętaniu się sam siebie niszczy, by inni żyli jego ofiarą. Można dzieło naukowe oderwać od jego twórcy, można je badać wyłącznie jako obiektywację, jako składnik nauki w pewnej chwili jej dziejów. Można jednak postępować inaczej, można dzieło łączyć z ludzką duszą, która je zrodziła, bo w ten sposób poznaje się wytwór przez jego twórcę i twórcę przez wytwór. Tak ujmowano wytwory ludzkiego geniuszu w platońskiej Biesiadzie, tak je pojmował Natanson, podążając od dzieła do jego twórcy, do człowieka.

Jednak i tutaj rozdzielała się

drogi w pewnej chwili. Podziwiamy historię mechaniki, napisaną przez E. Macha, a może jeszcze więcej jego książkę o Galileuszu, bo nie tylko podaje tam ostateczne wyniki prac genialnych badaczy, lecz sięga dalej. Wskazuje jak w tych głowach rodziły się naukowe pomysły, a z pomysłów powstawały eksperymenty, by ze swej strony przekształcić pierwotne myśli; wskazuje jak z jednego pomysłu zapalały się inne, trafniejsze, decydujące. Jedno zniechęca do Macha. Ma gotową teorię psychologiczną, przez którą rozbija umysł ludzki na atomy, na czucia, chociaż sam w fizyce tak bardzo odżegnywał się od atomów jako od rzeczonych, izolowanych substancyj. Uznając atomizującą psychologię asocjacionistów za dogmat, tłumaczył Mach proces twórczy przez prawa skojarzeń, zatracając żywego człowieka. Prof. Natanson z umiłowaniem zwracał się do tego samego twórczego procesu i śledził go aż do jego poczęcia nie tylko w skojarzeniach wyobrażeń, — lecz w sercu, w udrękach, w cierpieniach, w zachwytach i tęsknotach żywego człowieka. Niemniej od zagadnienia naukowego, niemniej od twórczego procesu interesował go człowiek, którego dusza zapłonęła pod dotknięciem platońskiego erosa. Każdy z jego szkiców monograficznych musimy oczywiście czytać od początku

do końca, bo inaczej trudno postąpić. Skorośmy jednak już raz przeczytali jeden z nich czy w „Obliczu natury” (1924), (1928), czy w „Widnokręgach nauki” (1934), czy wreszcie w „Prądach umysłowych w dawnym Islamie” (1937) warto się zapytać od czego naprawdę zaczęła się snuć przedza jego myśli, kiedy dumał nad portretem Maxwella, lub Farada'a, Newtona lub Smoluchowskiego, wreszcie któregośkolwiek Aleksandryczyka lub Araba. Zaczęła się niezawodnie snuć tam, gdzie jest mowa o zrodzeniu się pomysłu naukowego, o jego przeobrażeniach i ostatecznych triumfach; jednak od pomysłu prowadzi nic do umysłu, od umysłu do serca, od serca do całej już doli i niedoli człowieka. Bo Natanson miał już taką duszę, że kiedy o kimś miał pisać, to musiał go wpieryw nie tylko poznać, lecz i pokochać, pokochać, by jeszcze lepiej poznać. W ten sposób pokochał i poznał nie tylko żywych i bliskich, lecz i zmarłych i dalekich, Fr. Bacona, Newtona, Maimonidesa, Lukrecjusza. Wszędzie poczyniała się przedza jego myśli od twórczego procesu jakiejś jednostki, ale potem rozsnuwała się stopniowo na całości życia, na wszystko, co w nim bolało i cieszyło.

Co było jądrem pierwotnej mgławicy, z której ukształtował się portret Farada'a? Niezawodnie myśl o czterech nie-

udałych jego doświadczeniach nad prądem indukcyjnym, a potem myśl o jego triumfie, kiedy nachylony nad galwanometrem zauważył, że prąd w cewce powstaje ilekroć w nią wsuwa się magnes lub z niej się wysuwa. Co było jądrem mgławicy, z której wynurzyła się postać Maxwella? Jego niebывałe odkrycie fal elektromagnetycznych na podstawie analogii hydrodynamicznej. Co łączy w jedno szkice o Lukrecjuszu, o Aleksandryczykach i całą książkę o „Prądach umysłowych w dawnym Islamie”? Łączy je pytanie, jak dochodzono po raz pierwszy i dalszy do pojęcia atomu, bezwładności i grawitacji. To wszystko są zagadnienia, które rozbudzały twórcze procesy w duszach. Z pomysłu przechodził jednak Natanson do umysłu, a z umysłu do serca.

Przechodził najpierw do umysłu. Tłumaczy więc, jak szczęśliwą zasadę obrał Faraday dla swej twórczej pracy, kiedy sobie powiedział: „jedno tylko czyn naraz”, bo odtąd przez 25 lat wszystkie jego marzenia i myśli skupiały się koło zagadnienia, które go dręczyło; tłumaczy jak niedostatek przygotowania matematycznego nie pozwalał mu wyzyskać wszystkich jego odkryć, chociaż z drugiej strony wyobraźnia jego zachowała może przez to swoją świeżość i lotność, gdyż erudycja nigdy nie jest twórczą.

W Maxwelle widzi podstawę jego pomysłów w tym, że

dostrzegał podobieństwa między odległymi zjawiskami, a „analogia znajduje się zazwyczaj u źródła powodzenia konstrukcyjnych obrazów”.

Z umysłu przechodził do serca i do całej struktury osobowości. Mówiąc o Faraday'u, przytacza słowa Pisma św.: mądrość nie wnijdzie w duszę złośliwą. Wiemy, że ta myśl była gwiazdą przewodnią dla św. Augustyna; wiemy, że w wiekach średnich przeszła do św. Bonawentury, a we Francji XIX w. do Gratry'ego i jego szkoły; wiemy wreszcie, że ostatnie swe źródło posiada zarówno w Piśmie św., jak i u Platona. Także Natanson powtarzał za nimi wszystkimi, że na spotkanie prawdy trzeba iść całą duszą, a nie jej połową, jej zakątkiem, zachowując resztę dla marnej uciechy. To też badał czy Faraday i Maxwell i Newton i Aleksandrejczycy i Arabowie wnosili w szukanie prawdy całą, niepodzielną duszę a nie tylko jedną jej cząstkę, samą myśl bez uczucia, samą rozpętaną wyobraźnię bez uczciwości, szczerości i karności moralnej. Ukochał tak bardzo Newtona i Maxwella, ponieważ znalazł w nich razem z pędem twórczym głębię moralną. Znalazł w Maxwelle jeszcze jedno, co go bardzo wcześniej tak ściśle z nim związało. Dostyszał na dnie jego duszy bolesny akcent, znalazł tam cierpienie, które wynika stąd, że się idzie na spo-

tkanie prawdy całą duszą, a jednak całej i samej prawdy dotknąć się nie zdoła.

Mawiał i pisał, że złożoną budowę posiada atom, ale jeszcze więcej złożoną posiada nasza dusza ze swymi tęsknotami, cierpieniem i twórczymi porywami. Umiał badać, rozwiązywać i przedstawiać problemy naukowe w oderwaniu od ludzkiej osoby; lecz jeszcze więcej interesowała go postawa człowieka wobec tajemnic przyrody. Cierpiał, wmyślając się w gigantyczne procesy wszechświata, cierpiał jeszcze bardziej, wpatrując się w walki wewnętrzne naszej duszy. Prosta była droga, na której przechodził z przyrody do człowieka, z fizyki do humanistyki. Tu i tam spotykał się z twórczością ludzką wśród tęsknot walki i cierpienia. Z takiej drogi krzyżowej wyprowadzały jego zdaniem tylko mądrość razem z miłością. Nic więc dziwnego, że jak Maxwell z pośród wszystkich poetów najbardziej ukochał Szekspira i cigle do niego wracał. Wracał jeszcze do jednego, do P. B. Shelley'a, dowodząc z pasją, że nigdy przynigdy nie był ateistą, a tylko bolało go zagadnienie świata.

II.

NATANSON urodził się, jak by na to, żeby należeć do platońskiego Sympozjonu. Szukał ludzi twórczych i tęsknił do ich przyjaźni. W roku 1930 otrzymał dyplom doktora

honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przypomniał wów czas w auli dawne swe lata. „Przed wielu laty, mówił do kolegów, przed wielu laty, młody, początkujący, nikomu nieznanym, znalazłem w tym uniwersytecie pomoc, opiekę, zachętę...; znalazłem niezapomniane, do kresu niezapomniane szczęście przy jaźni. Czułem wówczas, że lat i życia będzie za mało, ażeby uiścić się z długu wdzięczności”. Znalazł w Krakowie istotnie tę przyjaźń, która obok porywu twórczego, wchodzi jako drugi składnik w atmosferę platońskiego Sympozjonu. Za ledwie wygłosił z katedry wykład habilitacyjny, podszedł do niego Karol Potkański, ofiarując mu z uściskiem dłoni niezmienną przyjaźń na zawsze. Przyszli potem Konstanty Górski, i Kazimierz Kostanecki, by założyć jakby cztery węgły pod to, co św. Bernard z Clairvaux nazwał szkołą przyjaźni, schola caritatis.

Trochę sentymentalnie, trochę romantycznie ujął ten związek duchowy Jacek Malczewski, kiedy na rysunku przedstawił cztery serca, które złączyły ze sobą grube, nierozzerwalne łańcuchy. Cztery serca zaczęły skupiać koło siebie inne, ale one same pozostały ze sobą skute na życie i śmierć. Przystąpili do „klikii” i młodzi, jak Jacek Malczewski i starsi, jak O. Pawlicki, K. Morawski, Ludwik Michałowski, N. Cy-

bulski; jednak tamte łańcuchy trzymały najsilniej.

Z biegiem czasu większe gro no profesorów zaczęło się gromadzić na wieczory dyskusyjne, na sympozjony. Bywali tam t. zw. „współcześni” jak Creizenach, Sokołowski, Rostafiński i inni, bywała tam cała „klikia”, ale tamte łańcuchy nie traciły na pierwotnej sile. W latach 1893 — 1900 nie było niedzieli, żeby się czterej przyjaciele nie zbrali w kawalerskim mieszkaniu Natansonów przy ul. Wolskiej, gdyż tam była ich szkoła przyjaźni, schola amicitiae. Z wyjątkiem Potkańskiego, niebawem wszyscy założyli ogniska rodzinne, wiążąc się innymi, nierozzerwalnymi węzłami na nowe, naprawdę niezamacone szczęście. Chociaż nowe zadzierzgnęły się węzły, dawne łańcuchy trzymały się z równą co dawniej mocą. Mijały lata, przychodzili nowi ludzie, zmieniały się stosunki i zaczęły pękać serca. Chociaż zmarli Górski i Potkański, to dawne ogniwa nie pękały, bo o zmarłych mówiono jak o żywych, o dalekich jak o bliskich.

Nie spostrzegł się tylko Natanson, że minęło 40 lat od pierwszego wykładu K. Kostaneckiego; nie mógł się ruszyć z miejsca, bo choroba przykuła go do fotelu, — więc postanowił za zapomnienie nagrodzić serdecznym wspomnieniem. „Kochany Kaziu, pisał w październiku 1934 roku, Kocha

ny Kaziu, — Dowiedziałem się z „Czasu”, mój drogi, że kole-dzy i uczniowie złożyli Ci ży-czenia serdeczne w 40-tą roc-znicę rozpoczęcia wykładów. Nie życzyli Ci z pewnością ser-deczniej, goręcej ode mnie. Pa-miętasz w Newport w r. 1894 Kaziu? Ów pierwszy wykład musiał bezpośrednio po New-port nastąpić. Ile zaszło, ile wydarzyło się od owego cza-su; ile zapadło w nicość i za-waliło się. Jakie przeobraże-nia i zmiany, jakie spustosze-nia, jakie ruiny. A trwa nasze uczucie zobopólnej przyjaźni; i dobroć Twoja trwa i życzli-wość i moje zobowiązanie Ci wdzięczne. Doczekaj, Kaziu, brylantowego z Uniwersytetem naszym wesela”.

Nazwałem mieszkanie Natan-sona szkołą przyjaźni, schola amicitiae, nawiązując do św. Bernarda, gdyż i u Natansona łączyły się jakoś dwie polarne skłonności. Jak bowiem lgnął do przyjaźni z duchami twór-czymi, tak tęsknił do samotno-ści — niemniej od średniowie-cznego, „białego mnicha”. Con-tinuata cella dulcescit. Słodką staje się zakonna cela, jeżeli się jej pilnuje, rzadko ją się o-puszcza, mówił Tomasz a Kem pis, wmyślając się w ducha św. Bernarda. Słodką była dla Na-tansona samotność, stając się źródłem rozmyślań i podniet do dalszej pracy. Powtarzał, że samotność nie jest próżnią, skoro otwiera nowe widnokre-gi, budzi nowe marzenia i my-

śli. Znając jego umiłowanie ci-szy, dawni i nowi przyjaciele nie przychodzili do jego eremu przy ulicy Studenckiej, kiedy był zajęty pracą. Za to on przy-nosił im na wspólne sympozjo-ny owoce swych rozmyślań.

Zresztą umiał sobie sam wy-tworzyć koło siebie samotność, umiał urządzić erem wśród ha-łaśliwego rozgwaru. Z Aix — Les Bains pisał do jedynasto-letniej wówczas córki: „Dzię-kuję Ci za Twój liścik, zaczęty 10-go i dokończony 11-go. Zaw-sze mi przyjemność sprawiasz każdym listem, każdą wiado-mością. List jest nie tylko dowo-dem, że wszystko dobrze, że nic złego się nie stało, ale za-razem objawem pamięci, chęci zrobienia przyjemności kosztem małego poświęcenia. Ponieważ jestem bardzo samotny, więc mi tym przyjemniej rozmawiać z Tobą listownie. Istotnie, je-stem samotny, mimo, że tyle osób widzę wciąż i że w tłumie ludzi jadam, piszę i czytam. Ale to są ludzie obcy. Wpraw-dzie i obcym trzeba i można być życzliwym, ale bliscy mają zawsze miejsce w naszych u-mysłach, które obcym nawet nie jest wiadome, cóż dopiero dostępne. Połączyć miłość swo-ich (ale czynną, głęboką, nie wyskakującą wyrazami przez okno) z życzliwością dla ob-cych, pogodzić mocne kocha-nie ze sprawiedliwym i trzeź-wym sądem, mieć dużo kryty-cyzmu a jeszcze więcej wyrazu miłości — takie powinno być

nasze dążenie, nasz ideał w życiu”.

Szanując to umiłowanie samotności, także Rodzina nie wchodziła do jego eremu w czasie natężonej pracy, a tylko maleńka wnuczka była uprzywilejowana, bo zjawiała się nie spostrzeżenie jak duch, by popatrzeć, jak dziaduś pracuje. Cieszył się, gdy nagle zauważył małego świadka, przyczajonego gdzieś za biurkiem. Dla niego napisał w „Czasie” felieton „Pod wieczór życia”, o nim napisał w roku 1929 zamiast świątecznego artykułu do „Czasu” list pt.: „Czy umiem pisać”. Kochał Natanson dzieci, jak je kochał Faraday.

Dwie polarne tęsknoty do przyjaźni i samotności godziły ze sobą kult dla twórczej pracy naukowej. Zresztą tylko dla tego platońskie Sympozjon trwało i jeszcze ciągle trwa wszędzie, gdzie twórcze duchy szukają się nawzajem, by w przyjacielskiej atmosferze prze dyskutować to, co się zrodziło w samotnych rozmyślaniach nad zagadnieniami z jakiegokolwiek dziedziny ducha.

Już średniowieczny mistyk, Hugo od św. Wiktora, bał się w swym Didascalion duszy ciarsnej, zamurowanej, anima coarctata, która nigdy nie wychyla się poza sferę własnej specjalności. Bał się zamurowanej duszy także Natanson ze względu na siebie i losy nauki, bo był przekonany, że dusza musi raz po raz zapłonąć, musi w sobie

poczuć erosa, a eros się nie zjawia, gdzie człowiek staje się zamkniętą w sobie monadą.

Kto chce poznać, jak o tym myślał, niech zajrzy do jego szkicu o Newtonie. Znajdzie tam na czele kilka stron, poświęconych genezie i znaczeniu stowarzyszeń naukowych. Raduje się tam Natanson radością Italii z czasów Odrodzenia, kiedy poprzez duszę jej wielkich ludzi powionęło wiosną, by zbudzić w sposób zdumiewający ich twórcze siły, by rozpalić w nich tęsknotę do platońskich sympozjonów, by dawać impulsy do zakładania coraz nowych, coraz innych akademii. Gniewał się na Voltaira za to, że drwił z Akademii francuskiej, szukając równocześnie jawnych i tajnych drzwi, które do niej prowadziły. Cenił wysoko angielską Royal Society dlatego, że ze skromnych początków rozwinęła się w wielką szkołę nauki i przyjaźni. Tak bardzo pokochał Polską Akademię Umiejętności, tak ofiarnie przewodniczył jej Wydziałowi matematyczno-przyrodniczemu, ponieważ tam oddychał atmosferą przyjaźni i twórczej myśli. Tak bardzo ukochał Jagiellońską Wszechnicę, bo i w niej widział organizację, która się poczęła z ducha przyjaźni i twórczej pracy. Mógł być zmęczonym, chorym, ale zrywał się jak olbrzym do pracy i walki, ilekroć chodziło o jej honor, jej rozwój, jej swobodę i życie. Widział w

niej symbol wolności i niepodległości za czasów niewoli i dla tego tak prosił, zaklinał, wołał, walczył, żeby w ustawie akademickiej nawiązano we wstępie do dawnych tradycji wolnej jeszcze Rzeczypospolitej. Byłby wołał, żeby mu uschła prawica i język przyłgnał do podniebienia, aniżeli by zapomniał ją, swoją Alma Mater. Skoro się pokazał po raz pierwszy w gronostajach rektorskich na trybunie w auli, gdy zaczął rozłaczać w swej inauguracyjnej mowie nieskończone widno kręgi ludzkiej wiedzy, odczuli wszyscy, że platońskie Sympozjon jeszcze trwa.

Z auli, z katedry w Collegium Witkowskiego, wracał do swojego eremu przy ul. Studenckiej na dalsze rozmyślenia, na rozmowy w dwóch, trzech, czterech. Pękały serca. Zjawiali się nowi przyjaciele, choć dawne łańcuchy jeszcze ciągle trzymały. Nie chcę tu wymieniać wszystkich, którzy odwiedzali erem. Wiemy z dedykacji „Prądów umysłowych w dawnym Islamie”, czym był dla niego Jan Rozwadowski w ostatnich latach jego życia. Pękały serca: odszedł także ten jego przyjaciel.

Nie chcę mówić o żywych, ale mam pod ręką stos pięknych listów do Ks. Biskupa Godlewskiego. Wszystkie świadczą o tym, że dusza Natansonowa rozchyłała się w atmosferze przyjaźni, jak kwiat otwiera się na promienie słoń-

ca; świadczą wszystkie, że trzy mały dawne łańcuchy, lecz do eremu przychodzili nowi przyjaciele. „Każde słowo, pisał w roku 1932 do Księdza Biskupa, każde słowo Najczcigodniejszego Przyjaciela, jest mi podporą w życiu i osłoda i nagrodą, choć niezasłużoną. Nie potrafię zrozumieć, czym zasłużyłem istotnie na skarb przyjaźni szła chetnej i czystej, który mi Ks. Biskup darowywa, którym mnie wzbogaca i myślę o tym uśmiechu losów niemal z jakąś obawą, jak ów król w podaniu, który pierścień rzucał falom. Ja jednak mojego skarbu żadnemu morzu nie oddam. Uczucia dobre pomiędzy ludźmi na pozór z nimi znikają, ale ich odgłos daleko sięga, pozostaje i po latach; niekiedy po wiekach milczenia i głuszy znowu odradza się, żyje”.

III.

U PLATONA dialogi zamieniały się w wyznania dlatego, że w nich filozof roz budował swe rozmowy w Akademii, zanim z nich uleciał czar świeżości, w nich idealizował wszystko, co przeżywał w gronie swych słuchaczy. Nie ma wprawdzie ani jednego dialogu wśród dzieł Natansonowa, to prawda, ale mamy bezpośredni wyraz jego przeżyć w niezrównanych listach.

Lubił listy czytać i pisać. Lubił je czytać i wtenczas, kiedy rysował sylwetkę dawnego uczo

nego i wówczas, kiedy chodziło o twórczy pomysł lub o przyjaciela. Ilekroć chciał sięgnąć do duszy autora, żeby wyjaśnić rodzaj jego twórczości, wczytywał się uważnie w jego korespondencję, bo był przekonany, że tam odezwie się napewno puls żywego człowieka, chociaż by go nie można wyczuć w jego dziełach. Dlatego zjawiają się przed naszym okiem nie martwe maski, lecz żywe oblicza Fr. Bacona, Newtona, Faradaya i Maxwella, ponieważ w korespondencji podsłuchał tętno życia ich wszystkich. Z listów Faradaya poznał, jak on „był ci chy, nieśmiały, prawie lękliwy, spragniony wiedzy i pracy, daleki od wszelkiej zarozumiałości, obcy egoizmowi — kochał naukę, radował się swoją w niej słuźbą — kochał dzieci i one tak lgnęły do białowłosego staruszka”. Z korespondencji, z listów dowiedział się, jak dokładnie znał Maxwell wielką poezję angielską, a zwłaszcza badacza serc, wielkiego Szekspira; z niej się dowiedział, jak Maxwell w dniach zniekania i choroby, w dniach ostatnich znajdował pociechę w rozmowach z przyjaciółmi o wielkim dramaturgu. Pewnie korespondencja otworzyła mu drogę do duszy Maxwella tak, że go wcześniej pokochał i zawiesił jego portret na honorowym miejscu w swym gabinecie.

Wielu jest ludzi, którzy listy chętnie czytają, mało takich, którzy je lubią pisać, a najmniej takich, którzy je pisać umieją.

Natanson lubił i umiał pisać listy, jak rzadko kto. Każdy z nich mógłby odrazu pójść pod prasę, by potem świecić jak brylant błyskami myśli. Pisał ich wiele i pięknie i ofiarnie, prowadząc w nich dalej sympozjon, które rozpoczął w swym eremie lub gdzie indziej.

Pisał ofiarnie. Opowiadał mi kiedyś dzieje zebrań u Ludwika Michałowskiego, przesuwał przed moimi oczyma dużą galerię osób, które w nich uczestniczyły. Ponieważ wymienił między innymi Adama Chmielowskiego, późniejszego Brata Alberta, zapytałem go w jakiś czas potem, czyby nie zechciał spisać swych wspomnień, by je utrwalić jako obraz dawnego życia towarzyskiego, zwłaszcza, że chodziło o odtworzenie atmosfery, w której zjawiał się Brat Albert. Tłumaczył się, że ma głowę starą, zmęczoną, zboleła, że myśli pod pióro leniwie tylko podchodzą. Nie nalegałem, bo nie chciałem męczyć. Było to wieczorem, a już nazajutrz koło godziny dziesiątej rano otrzymałem list na kilkunastu stronach, gdzie odżyły wieczorne zebrań z przed 30 lat, zamykając się jakby wizją Brata Alberta. Takich rzeczy nie zapomina się aż do końca życia.

Pisał pięknie, ofiarnie i poważnie. Pisał do jedenastoletniej córeczki, do kilkuletniej wnuczki, jakby już były u szczytu umysłowego rozwoju, bo w każdym drobnym liście ognisko wała się cała jego bogata dusza.

Tym bardziej zainteresować muszą jego listy do współczesnych fizyków, do Lorentza, Plancka i Einsteina, z którymi utrzymywał żywą wymianę myśli. Tę korespondencję należałoby zebrać, bo w niej zawierają się napewno cenne materiały do naszych związków z nauką zagraniczną. Trzeba zgromadzić całą jego korespondencję, gdyż wszystkie listy polskiego przyrodnika i humanisty są wyrazami naszej najwyższej kultury towarzyskiej i subtelności duchowej. Kto będzie chciał zajrzeć w bogatą duszę Natansona, znajdzie jej zwierciadło przede wszystkim w listach.

Także w listach przejawia się polarność jego głębokich tęsknot, dochodząc poprzez silne napięcia duchowe do wyrównania. Do polarności uczuć przyrodnika i humanisty, samotnika i uczestnika sympozjonów dołączyła się polarność podwójnej postawy uczuciowej wobec przyrody. Kompetentne pióro prof. Wilkosza zarysowało nam już sylwetkę Natansona jako fizyka-filozofa. Na tym miejscu chodzi o co innego. W „scho-liach” wyznaje, że jako dziecko tęsknił do morza, tęsknił do jego bezmiarów, co tak bardzo wabią do marzeń roz tęsknioną wyobraźnię. Nie wiedział jeszcze wówczas, że morze potrafi być okrutne, że się cofa leniwie, a nacierając silnie, uderzając o piaszczyste brzegi; nie wiedział, że i ono skarży się i jęczy, bo się zmagają samo w sobie.

Okrutne okazało się morze od pierwszego spojrzenia, a jednak tyle razy uciekał od ludzi nad jego brzegi, bo ono wprawdzie przerażało lecz i nęciło zarazem. Jak morze tak i cały kosmos budzi w nim grozę i radość, przestrasz i zachwyty. „Wszyscy razem stoimy na wybrzeżu oceanu wszechświata; przyglądamy się wszyscy niezmiernej grze zjawisk. Wszyscy razem wobec czegoś stoimy, co nie jest ludzkie, co jest poza ludzkie, co za razem niestety jest także nie-ludzkie”. Scholia zamykają zbiór przemówień i rozpraw pod zbiorowym tytułem „Oblicze natury”. Gruzne, okrutne wydaje się to oblicze w pewnych chwilach, ale kiedy indziej, w innej postawie ducha, oblicze się zmienia. Uciekał czasem Natanson od ludzi nad brzegi morza, bo w jego niezgłębionej toni odbijało się dla niego oblicze wszechświata tak różne, tak szlachetniejsze od oblicza niejednego człowieka. Szlachetne jest to oblicze, bo „nie zna podstępów, wybiegów i kłamstwa”; „wszystko jest prawdą, co się w nim ziściło”. W jedenaście lat później zjawia się w liście do ks. Biskupa Godlewskiego to samo podwójne oblicze natury, ta sama podwójna postawa uczuciowa wobec kosmosu. „Pragnąłbym zobaczyć ocean i jego szum słyszeć, jęk wiekuisty, skargę nieprzerwaną, niezmierną. Wzrok zgubić, chociażby w stepie rozświetlonym. A jednak widoki natury niemal zawsze są

smutne. Mnie one wydają się często przerażająco bolesne. Mo że dlatego, że natura jest niema, skazana na milczenie lub na niezrozumienie. Oczy kota wy dają mi się okropne, bo mówią wyraźnie do ludzi: nie pojmu jemy się. Nawet i oczy niemowląt (dopóki nie wychowamy ich na nasz fason) miewają nie kiedy ów wyraz tajemniczego au dela, jak gdyby coś były z nicości zaświatów niepojętego przyniosły". Jeżeli w tym liście dwoiste oblicze zjawilo się w blaskach poezji, to w dedykacji „Prądów umysłowych w Islamie” wypowiedziało się w sposób zwięzły i ostateczny. „Natura, pisał, wszechbiegiem jest zmian i wydarzeń; musi snuć i rozstrnuwać tryskać i uspakając i zgładzać; strzelać płomieniem i pochłaniać i ćmić; musi wołać do życia i popychać ku śmierci”

Znał także Natanson podwójną postawę myśli ludzkiej wobec wszechświata. Postawę uławną, zarozumiałą widział u filozofów greckich i innych; postawę skromną, cichą, pracowitą dostrzegał u Aleksandryjczyków i współczesnych badaczy. Tam wszystko unieruchomiano, sięgano do trwałych istot; tu za dawałano się przemianami i zdarzeniami, polami elektromagnetycznymi i modelami, trójkątami i kulami. A jednak i Natanson raz po raz nadśluchiwał, czy w przyrodzie odzywa się jakiś prawidłowy rytm jej przemian, spodziewał się, że nie wszystko jest ugoda, że chwy-

tamy zmieniające się tworzywo świata. Szedł na spotkanie prawdy całą swą duszą i cierpiał, że poznaje tylko częściami i ułamkowo, że całej prawdy dotknąć mu niepodobna.

Na widok wszechświata odczuwał i zachwyty i ból. Odczuwał ból, jak św. Paweł, kiedy w liście do Rzymian pisał: wiem bowiem, że całe stworzenie wzdycha i boleje. A nie tylko ono, ale i my sami, wszyscy pierwiastki ducha, sami w sobie wzdychamy, oczekując przybrania za dzieci Boże odkupienia ciała naszego (Rzym. VIII, 19 — 24).

Cierpiał, wpatrując się w polarność dwóch zakonów w człowieku; cierpiał, jak św. Paweł, chociaż w innych wyrażał się słowach. Powróciwszy kiedyś z teatru, miał duszę pełną Hamleta i dlatego napisał jemu na Do branoc, a wszystkim na przestrogę znamienne dla siebie zdanie. „Bolesny, jak życie, zawily i dziwny, jak świat, chwiejny, jak ludzkość i jak ona pełny sprzeczności. Hamlet jest niewyczerpanym, niepojętym zwierciadłem duszy człowieka”. Czytając Biblię, cierpiał, widząc pojedynkę człowieka z Bogiem, ale się cieszył równocześnie, że jednak cnota odnosi zwycięstwo nad zepsuciem, sumienie nad zbrodnią. Trwożył się, lękał i cierpiał, kiedy „na widnokregu cywilizacji” zauważył zbliżającą się rozprawę między Europą a Wschodem. Zakończył swą przemowę na ten temat do przyjaciół „Czasu” wyrazem na-

dziei: „Jeżeli Europa potrafi wydobyć ze siebie potęgę moralną, treść najlepsza, istotna jej wartości duchowej, zostanie”.

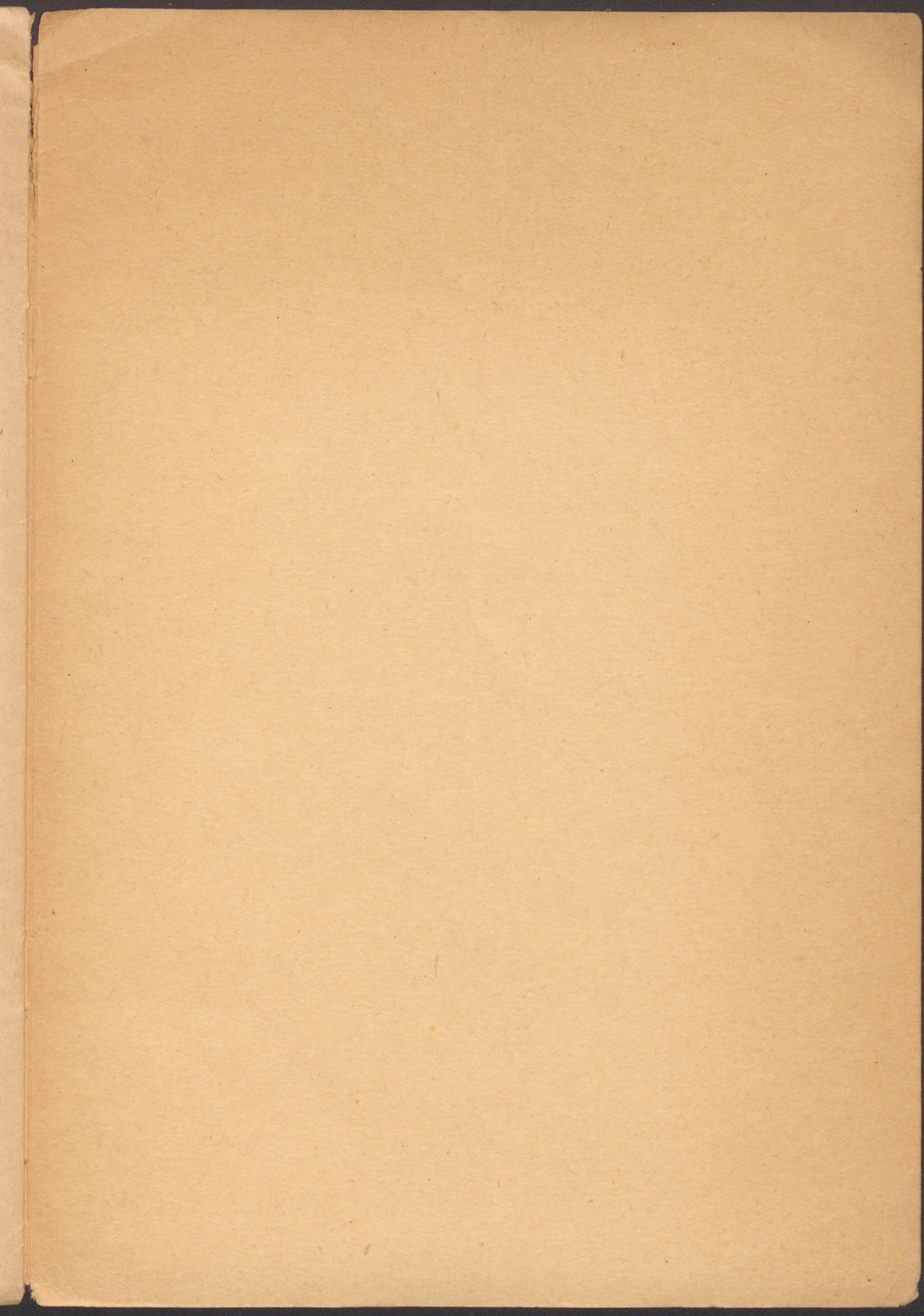
Poprzez twórczość myśli dochodził do częściowego wyrównania dostrzeganych i przeżywanych polarności; a jednak sam twórczy eros był dla niego źródłem nieznośnej udręki. Skarżył się cicho, lecz skarżył się boleśnie, że bez pracy żyć nie może, a jego siły fizyczne zaczęły się wyczerpywać. Dokąd ułatywała wówczas jego myśl? Gdzie szukała ostatecznego rozwiązania zagadki bytu? Na jakich drogach szukało serce ostatecznego ukojenia? Przebiegnijmy rozważnie wszystkie jego pisma.

Kiedy napięcia jego myśli i uczuć dochodziły do najwyższego stopnia, zjawiał się w nich wyraz Bóg. Żadnego innego z tą ką czcياً nie wymienia; do żadnego innego nie powracał z poczuć takim Majestatu. Uderza jedno. Natanson cierpiał pod naciskiem przeżywanych polarności a przecież ani raz nie wydo była się z jego ust, czy z pod jego pióra skarga przeciwko

Stwórcy. I jeszcze jedno. Tyle razy przytacza słowa Pisma św. jako hasła, pod którymi chce pisać tę lub iną rozprawę. Nigdy nie użył tych słów nietaktownie, nigdy, kiedy pisał o objawach życia, w których grozić mogła profanacja. Nie brał imienia Bó żego nadaremnie. Szukał u Stwórcy rozwiązania ostateczne go wszystkich polarności i sprzeczności, kiedy już twórcza jego myśl ustawała. Ustawała jego myśl w swym biegu i pracy świadomej w dniach agonii, ale na minutę, dosłownie na minutę przed skonem, odzyskał ją całkowicie by spojrzeć w nieskończoną dal, takim okiem, że chyba już dojrzał świat inny, ten, gdzie rozpoczyna się wieczne Sympozjon.

Z bólem w duszy stanęliśmy wszyscy nad świeżą mogiłą wielkiego człowieka — najbliżsi i dalsi. Stał nad nią także szary człowiek, woźny uniwersytecki, który przez 20 lat Zmarłemu usługował. Ze wzruszenia nie mógł utrzymać berła. Nad mogiłą wielkiego uczonego z platoń skiego Sympozjonu, płakał szary człowiek.





Biblioteka Główna UMK



300020638274